

Anatoliusz Bujnicki

ul. Skorupska 50 m 2.

Białystok

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Urodziłem się w Lidzie w 1922-gim roku. Stamtąd pochodzili moi rodzice. Tam skończyłem szkołę powszechną a następnie szkołę rzemieślniczą. W czasie okupacji sowieckiej, od 1940-go roku, pracowałem jako kierowca w "awtobazie", będącej odpowiednikiem naszego PKS-u.

W połowie 1941-go roku, gdy do Lidy wkroczyli Niemcy, nadal pracowałem w "awtobazie". Jednocześnie należałem do Armii Krajowej. To właśnie na jej polecenie tam byłem zatrudniony. Praca kierowcy dawała wiele możliwości, cennych dla organizacji konspiracyjnej. Z racji swoich obowiązków bywałem w wielu miejscach, m.in. w Grodnie i Mińsku. Woziłem różne, niekiedy bardzo cenne dla AK rzeczy: lekarstwa czy ubrania.

W połowie 1942-gim roku musiałem uchodzić do lasu, gdyż przychwycono mnie na "gorącym uczynku", gdy przewoziłem pistolety. Zdołałem uciec w ostatniej chwili i to razem z samochodem, który dotychczas prowadziłem. Muszę bowiem dodać, że w zgrupowaniu partyzanckim mieliśmy jednostkę zmotoryzowaną, w której skład wchodziło 10 samochodów. Pistolety, które przesądziły o mojej ucieczce, uzyskaliśmy od żołnierzy niemieckich za bimber, za który zresztą w tamtych czasach można było dostać dosłownie wszystko.

Moim dowódcą był porucznik Pazurkiewicz - prawdziwe nazwisko - Bokłazec. Po przejściu frontu w 1944-tym roku został ujęty przez władze sowieckie i w styczniu 1945-go roku powieszony w Lidzie.

Gdy front wschodni był już blisko, latem 1944-go roku nadszedł rozkaz marszu na Wilno. Rozpoczęła się bowiem akcja "Ostra Brama" w ramach operacji "Burza". Dotarliśmy jedynie do miejscowości Miedniki. Dalszy marsz był niemożliwy z uwa-

gi na postawę wojsk sowieckich. W tej sytuacji por. Pazurkiewicz rozwiązał oddział, aby każdy mógł ratować się na własną rękę. Rosjanie dokonali licznych aresztowań żołnierzy AK, głównie oficerów, których wzięli do Kaługi.

Mnie udało się powrócić do Lidy, gdzie podjąłem pracę w DEPO /parowozowni/. Ze sobą zabrałem z oddziału partyzanckiego podoficera, który przed wojną też był podoficerem w 5 pułku lotniczym w Lidzie. Nazywał się Wacław Reszetnik. Zatrudniono nas przy składaniu i remoncie "trofiejnych" samochodów.

Pewnego razu, zupełnie nieoczekiwanie, spotkałem na ulicy kilku Żydów o których wiedziałem, że byli w czasie wojny w Czerwonej Partyzantce. Znałem ich jeszcze z czasów okupacji niemieckiej, kiedy to oni też pracowali w "awtobazie". Kiedy przywitaliśmy się, oni zaczęli pytać mnie o Wacława Reszetnika. Chciałem dowiedzieć się, dlaczego ich on interesuje. Wówczas jeden z nich - Kamiński - zaczął złorzeczyć i odgrażać się Reszetnikowi. Nie miałem wątpliwości, że mojemu koledze grozi poważne niebezpieczeństwo i natychmiast go o tym ostrzegłem. On, całkowicie zaskoczony, zaczął rozpaczać. Mówił, że w rzyd żadnym wypadku uciekać nie może, gdyż jest związany obowiązkami rodzinnymi, miał bowiem żonę i dzieci. I stało się to, co się stać musiało: został aresztowany.

Nazajutrz do DEPO przyjechał NKWD-ysta na motocyklu. Zaczął pytać o mnie, co mnie zaniepokoiło. Kiedy mnie odnalazł, poprosił o naprawę motocykla, co mnie w znacznym stopniu uspokoiło. Kiedy motocykl był już całkowicie sprawny NKWD-ysta powiedział, że w siedzibie NKWD jest uszkodzony samochód, który wymaga pilnej naprawy. Ponieważ mój zwierzchnik w pracy udzielił stosownego zezwolenia, zgodziłem się nie przeczuwając, że jest to podstęp i że jest to poprostu aresztowanie.

Kiedy przyjechaliśmy do NKWD, pracujący tu Żyd zabrał mi pasek, sznurowadła, pierścień i zegarek. Nie chciałem mu tego oddać domagając się przekazania tych rzeczy rodzinie, ale nie wzięto tego pod uwagę. Następnie osadzono mnie w pojedynczej celi.

O północy zaprowadzono mnie na śledztwo. Po spisaniu wstępnych danych padło pytanie o "kaliczkę" /pseudonim/. Zaprzeczyłem utrzymując, że nic takiego nie miałem. Uparcie trzymałem się tej wersji mimo silnego bicia kolbą pistoletu. Następne pytanie dotyczyło: kogo znam? Zacząłem wymieniać nazwiska tych osób, które musiałem znać: kolegów z pracy, najbliższych sąsiadów i tp. Nie mogłem podać innych gdyż znając mechanizm sowieckiej sprawiedliwości zdawałem sobie sprawę, że tym samym skazalbym ich co najmniej na aresztowanie. To doprowadziło przesłuchujących do rozpaczliwej wściekłości. W końcu zrezygnowali z dalszych pytań i ulokowali mnie w celi ogólnej.

Dopiero tu mogłem zorientować się o przyczynie i okolicznościach aresztowania. Oprócz mnie aresztowano 12-tu żołnierzy AK. Tu dowiedziałem się, że Wacław Reszotnik nie wytrzymał tortur i podał te nazwiska.

W pewnym momencie z celi ogólnej wezwano na przesłuchanie Szot-Czetowicza / mieszk. obecnie w Łuku /. Na przesłuchaniu on zachowywał się podobnie jak ja. I on również nie zmienił swojej wersji mimo bicia.

W grudniu 1944-go roku w celi więziennej odbyło się posiedzenie wojennego trybunału, przed którym stanęło nas dziesięciu żołnierzy AK. Wyrok nosi datę 16-go 11^{go} 1945-go roku i w odniesieniu do mnie opiewa na karę 10-ciu lat więzienia, konfiskatę mienia i pozbawienie praw za działalność kontrrewolucyjną / dokument Prokuratury Wojewódzkiej w Grodnie doty-

czący sprawę mojej rehabilitacji z dnia 27-go marca 1990 r/.

Po wyroku załadowano nas do bydłych wagonów, do których musieliśmy przejść szpalerem utworzonym przez "bajcow" z bronią. Dojechaliśmy najpierw do Orszy a następnie do stacji kolejowej Guszyno k. Smoleńska. Tu rozpoczęliśmy, jako więźniowie, pracę przy budowie autostrady Mińsk - Moskwa. Wkrótce kilku Polaków zorganizowało udaną ucieczkę. Władze więzienne, w ramach represji i zastraszenia, nakazały rozebranie do naga grupy więźniów, załadować na odrutowany samochód i wywieźć w niewiadomym kierunku. Później dowiedziałem się, że na okładkach naszych więziennych akt personalnych pojawił się ukośny, czerwony pasek i napis: "socjalno - opastnyj" /skłonny do ucieczki/. Bo ucieczki dokonali nasi koledzy.

Pracowaliśmy w pobliżu Katynia. Zatrudniona z nami kobieta, magazynierka, opowiadała mi o sprawie katyńskiej. Miała wiele do powiedzenia, bo przez cały czas mieszkała w tych stronach.

Wkrótce przewieziono nas do Moskwy do więzienia Butyrskiego. Tu przebywaliśmy ok. dwóch miesięcy. Następnie dotarliśmy do miejscowości Suchobezwodnaja, w gorkowskiej obłasti, Maryjska ASRR. Pracowałem przy załadunku drewna na wagony. Tu funkcjonował też artel produkujący łapcie na potrzeby "zakluczonych" /więźniów/.

Wiosną 1946-go roku etapem dotarliśmy do więzienia w Kazaniu. Było ono wzorowane na amerykańskich; zamiast ścian były kraty. Tam, w więzieniu, przebywała ze swoją córką Kapłan, która dokonała zamachu na Lenina śmiertelnie go raniąc.

Kolejnym miejscem mojego więzińskiego pobytu był Swierdłowski / tu byłem chyba przez miesiąc / a następnie skierowano mnie wraz z grupą więźniów do Solikamska / tu osiągnąłem

wagę 35-ciu kilogramów/. Stąd dotarłem do Baržo i dalej Kamą do Czerdynia. Z tego miasta rozsyłano więźniów do "łagpunktów". do pobliskiej tajgi. Wszystkie one podlegały pod "usułłag" właśnie w Solikamsku.

Do jesieni trochę mnie dokarmiono a następnie skierowano do pracy w "lesopowale" przy załadunku wagonów. Tu, jako ładowacz, pracowałem do grudnia 1947-go roku.

Zupełny przypadek sprawił, że koleje mojego więźniarskiego losu uległy diametralnej zmianie. W czasie prac przeładunkowych jeden z traktorów odmówił posłuszeństwa. Traktorzyści nie mogli go uruchomić. Ponieważ miałem już praktykę w pracy przy silnikach, zgłosiłem się do naczelnika twierdząc, że potrafię uruchomić ten traktor. I rzeczywiście traktor uruchomiłem. Wówczas naczelnik wezwał mnie do siebie i zaproponował mi posadę pomocnika traktorzysty. Odmówiłem. Zaakceptowałem natomiast stanowisko mechanika. Na tym stanowisku, dzięki zmysłowi organizacyjnemu, radziłem sobie nadspodziewania dobrze. Moi zwierzchnicy byli zadowoleni z mojej pracy, doceniali moją pracę traktując niejedenkrotnie "kielichem".

Denerwowało mnie obozowe życie, szczególnie zaś ogłupiający rygor: niekończące się apele, przeliczanie i ustawiczne sprawdzania. Zwróciłem się więc do swojego naczelnika z prośbą o stałą przepustkę, która pozwalałaby mi unikać tych obozowych zbiórek. Dawałaby mi też pewną swobodę poruszania się po obozie przy przechodzeniu ze jednej strefy do drugiej. Mój naczelnik zgodził się na to ale musiał uzyskać akceptację naczelnika wyższego szczebla. Ten jednak, z pochodzenia Żyd, ordynarnie zrugął naczelnika a przy okazji i mnie. Niejako podsumowaniem było jego stwierdzenie pod moim adresem, że "ta polackaja morda nie będzie pracować na sowietskoj tiechnike". I kazał mnie wywalić z mojego dotychczasowego stanowiska.

Nazajutrz, po jego odjeździe, mój naczelnik w poufnej rozmowie stwierdził, że i on ma dosyć sobiepaństwa "tej jęwejskiej swołoczy". Nie będzie żadnych zmian w stosunku do mnie. Wszystko pozostaje tak jak było. I rzeczywiście tak było.

W listopadzie 1949-go roku, barżą /łodzią na holu/ ruszyłem w dół Kamy, do Solikamska. Tu, z grupą innych więźniów zostaliśmy załadowani do wagonów towarowych i ruszyliśmy w nieznanym kierunku. Jechaliśmy tak przez trzy tygodnie nadal nie wiedząc, dokąd zmierzamy. Wyglądając przez szpary między deskami wagonu stwierdziliśmy, że pociąg jedzie przez step. Wreszcie transport zatrzymał się. Część kolegów z transportu, którzy nie mogli chodzić o własnych siłach, załadowano na samochody ciężarowe a pozostali ruszyli pieszo do odległego od 10 km obozu, który tworzyły fińskie domki. /baraki/. Załadowano nas do tych baraków i zamknięto.

Nazajutrz zaczęło się nasze obozowe życie. Na wstępie uprzedzono nas wszystkich, że odejście poza druty prowadzące z baraków do ~~do~~ kuchni jest równoznaczne z rozstrzelaniem. W takich to warunkach przebywaliśmy do wiosny roku 1950-go. Wówczas utworzono tu brygadę samochodową. W jej skład wchodziło ~~140~~ 110 ludzi, zupełnie do tego w większości nie przygotowanych, których musiałem w rzeczywistości uczyć. Nasze zarobki kształtowały się w wysokości od 30- to do 100- to rubli. Zaczynały się ^{te} ciężkie, bardzo ciężkie czasy.

W obozie zaprowadzono katorżnicze obyczaje. Pozbawiono nas nazwisk. Byliśmy numerami i tak nas wyczytywano czy wywoływano. Owe numery mieliśmy na czapkach, piersiach, lewym udzie i na plecach. W czterech miejscach. Jednak w naszym obozie życie nie było aż takie straszne, ponieważ ludzie - zwłaszcza zaś kierowcy - byli względem siebie bardzo solidarni. Taki

stan rzeczy trwał do do 1952-go roku.

W 1953-cim roku powierzono mi brygadę. Bardzo tego nie chciałem. Do końca wyroku pozostało mi już tylko dwa lata toteż nie chciałem brać na swoją głowę dodatkowych kłopotów. Ale bezskutecznie.

Koniec wyroku nadszedł w Kwitniu 1954-go roku. Stało się to na pół roku przed terminem wymienionym w wyroku sądowym. Stało się tak dlatego, że stosowano wobec mnie tzw. "zaczot" polegający na tym, że przeliczano mi czas odbywania wyroku np. zamiast roku liczono więcej za pracę w szczególnie trudnych warunkach. Formalnie mogłem teraz wyjść na wolność. Ale teraz zaczęły się problemy.

Z kolegami zawieziono mnie do więzienia w Karagandzie, aby tam, w więzieniu, załatwić formalności. Trafiłem do wieloosobowej celi, w której zastałem więźniów załamanych psychicznie. Właśnie tam zawarłem bliższą znajomość z nadwołżańskim Niemcem. Wreszcie przyjechała więzienna "suka", którą tutaj zwano "czornyj woron" i przewiozła nas na kraniec miasta. Tu kapitan Zubow, wskazując na mnie palcem, oznajmił, że będę brygadzystą i kazał napisać życiorys. Ponieważ już nie byliśmy więźniami, dano nam dwie godziny wolnego na wyjście do miasta, gdzie zjedliśmy niecóż "zakrapiany" obiad. Po obiedzie podpisałem dokument z którego wynikało, że zgadzam się na "wieczną zsyłkę".

Następnie wywieziono nas ~~za~~ Karagandę, gdzie przebywali więźniowie. Tu spotkałem znajomego, który natychmiast uprzedził mnie, abym wybierając jakąkolwiek pracę w żadnym wypadku nie zgadzał się na zatrudnienie w kołchozie, bo tam są najgorsze warunki. Od początku w tym nowym miejscu sytuacja była zdecydowanie niejasna. Kiedy organizowano grupy do pracy i wyczy-

tywano moje nazwisko, nie zgłaszałem się. Nazajutrz wezwał mnie do siebie naczelnik NKGB i zapytał, gdzie byłem wczoraj. Coś mu odpowiedziałem i stwierdziłem, że chcę zarabiać pieniądze albo niech mnie ponownie ześlą do łagru. Taka nadal niejasna sytuacja trwała ok. 2 tygodnie.

W końcu zaproponowano mi zatrudnienie na podstawie umowy. Nie zgodziłem się. Wówczas zatrudniono bez umowy. W pracy moim zwierzchnikiem był inż. Romanow, który miał żonę Polkę. Wzjął mnie na swojego pomocnika. Wkrótce byłem głównym mechanikiem. Romanow uprzedził mnie, abym nieustannie baczył na NKGB. Powierzano mi samodzielne czynności jak np. samochodowe transporty pracowników na ugory.

Z Lidy przyjechała do mnie moja matka, ale pod zmienionym nazwiskiem. Trochę jeździłem z nią po okolicy. Cały czas nieprzerwanie myślałem o powrocie ale też dobrze wiedziałem, że normalną, formalną drogą nie będzie to możliwe. Wiedziałem, iż droga wiedzie przez umiejętne wykorzystanie układów, w których tkwiłem. Tu nadzwyczaj pomocna okazała się znajomość z naczelnikiem miejscowej Milicji, którego syn wcześniej rozbił samochód. Ja go szybko naprawiłem i sprawa "przyschła". To właśnie on, naczelnik milicji doradził mi, abym wypełnił ankietę, na której podstawie otrzymałem zezwolenie na odwiezienie "chorej" kobiety do Lidy. Tą "chorą" była oczywiście moja matka. I tak się stało. Było to w czerwcu 1955-go roku. Stwierdziłem, że widoki na układanie sobie przyszłego życia w Lidzie są nijakie. Wówczas mój brat, mieszkający w Białymstoku - tu mieszka nadal - przysłał pismo z którego wynikało, że gotów jest zabrać mnie do Polski na własną odpowiedzialność. Z takim pismem wróciłem do Kazachstanu i przedłożyłem je w miejscowym NKGB. Do Polski wróciłem w grudniu 1955-go roku.

ПОЛОНЦЕ: ПАМІТАЇ СІЯНКО